

Wojciech Stanisławski: Miękka i twarda cisza

Można by o tych dwóch zbiorach opowiadań napisać na podobną nutę co Herbert w „Trzech studiach na temat realizmu”: są ci, którzy malują senne koleiny podmiejskiej drogi i ci, którzy kreślą czarne i białe smugi.

Czy da się rozróżnić ciszę miękką i twardą, kojącą i ogłuszającą, pachnącą zarośniętym sadem albo zimnym kurzem gruzów? Wydaje się to sztuczne, „poetyckie” w złym guście: podobne frazy udawały się chyba tylko Miloradowi Paviciowi w jego niezapomnianym „Słowniku chazarskim”. Ale co poradzę, że tak właśnie brzmią dwa kameralne zbiory opowiadań Piotra Szewca i Serhija Żadana?

„Było” Szewca to przy tym nie do końca opowiadania: encyklopedyczna nota opisuje je, sztywno i niezgrabnie, jako „małe formy prozatorskie”. Entuzjasta tej kieszonkowej książki może uznać je za małe epifanie prozą, za spis inwentarza, zarazem precyzyjny i czuły, podlubelskiej prowincji lat, jak wynikałoby z metryki pisarza i kilku szczegółów materialnych, siedemdziesiątych, choć ta szorstka sielanka ma swoje korzenie znacznie głębiej, co najmniej w pierwszych powojennych latach.

Umiejętność doświadczenia i opisanie „małego czasu”, osobnego, niedostrzegalnego trwania i nieważności, które są tak charakterystyczne dla życia prowincji, dała się dostrzec już na stronach

„Zagłady”, pierwszej prozy Szewca, którą dane mi było czytać. Ale tam ta cisza, sielankowość, skromna uroda kocich łbów i małych ogrodów miała stanowić ironiczny, przejmujący kontrast do zapowiedzianego w tytule książki nieszczęścia i utraty. „Było” nie konfrontuje nas z żadnym wydarzeniem. Tytuł, podobnie jak w przypadku „Zagłady”, uczciwie zapowiada treść: to nawigacyjne nieledwie opisanie strumyka, biorącego swoje źródło pod żelazną podwórkową pompą, wyliczenie rowerów, pobielonych pni czereśni poznańskich, omszałych płytek eternitu. Autorzy z kręgu „nouveau roman” zadręczyli by nas precyzją podobnych opisów, dziewiętnastowieczni prozaicy potraktowaliby hasło „spis inwentarza” serio i wyliczaliby, bezlitośnie, naczynia gospodarskie i odmiany jarzyn w ogrodzie. Piotr Szewc nie pozwala sobie na więcej jak kilkanaście zdań w jednym akapicie, jego wzrok przemieszcza się z werandy na ulicę, sięga na przedmieścia Tomaszowa i Zamościa, wraca do sadu i na dach – jakbyśmy obserwowali filmowy zapis szkicowania panoramy ołówkiem.

Nie jest to proza całkiem wolna od ludzi, poświęcona jedynie kształtom i wzajemnym relacjom przedmiotów: narrator, ośmio-, może dziesięcioletni krąży, „przemieszczający się po przedmieściu, przylegający do ludzi, miejsc i rzeczy opitek”. Ludzie to najbliższa rodzina, ale także nauczyciele i sąsiedzi: w ogromnej większości dorośli, darzeni respektem i trochę niepojęci.

Taka sztuka jest już prawie całkiem zapomniana, najprędzej udaje się ją zobaczyć na starych obrazach: martwych naturach, które można „czytać” okiem historyka kultury albo botanika, wnioskować z nich o gatunkach jabłek i stopach cyny w XVII-wiecznej Europie, ale kto skupi się na tym, przegra, bo przecież na te obrazy trzeba patrzeć jak na zapis bytu i przemijania. Podobnie z „Było”: tych sto z okładem stron to

świetny materiał dla historyka dekady gierkowskiej w Polsce B. Zimowy dworzec PKS (mógłby go namalować Bruegel, niczym „Myśliwych na śniegu”, z sinymi i szarymi cieniami w rozjeżdżonych koleinach brudnego śniegu), przydomowe tłoczarnie oleju rzepakowego, chodniki z grubych betonowych płyt – łatanie szczerbatymi cegłami, przydomowe poletka tytoniu, małe hierarchie społeczne i stopnie prestiżu, dziejące żonę sklepikarza od siostry krawca. Ta książka pięknie wpisuje się w oszczędną pochwałę prowincji i pod-miejskości, ton bardzo ważny w polskim pisarstwie, nawet gdyby ograniczyć się tylko do dwudziestowiecznych jego mistrzów: Czechowicza, Swena Czachorowskiego, ostatnio – Piotra Sommera (myślę o ubiegłorocznych „Środkach do pielęgnowania chmur”).

A zarazem – „Było” jest w moich oczach zapisem zakończonego sukcesem ćwiczenia duchowego: wychylenia się, jak wędrowiec z astrologicznej ryciny, poza czas i świat, odnalezienia „wiecznego teraz” w skromnym, zatłoczonym trochę pokoju, w którym zapewne nie brakowało pajaków, podłoga była z pomalowanych na ciemno desek, a parapet zastawiony kwiatami: „nie doczekałem się, by zakwitł mały, pękaty kaktus”. No właśnie, zasklepiiony i oswojony żal to jeszcze jeden ważny ton tej książki: zgoda na porządek świata, w którym zmieścić się musi również przemijanie, jest tu warunkowa, by nie rzecz wymuszona (czyli taka, na jaką z czasem zdobywamy się prawie wszyscy).

A obok książka bliźniacza formatem, czasem wydania, może i pokrewna lokalizacją, lecz tak różna, jak „wieczne teraz” różni się od migawkowego, rozedrganego „teraz” tektonicznej katastrofy, sunącej jak ściana błota czy rumowisko: wojny.

O wojnie, o froncie traktuje przecież (w różnych tonacjach) większość tłumaczonej w ostatnich latach prozy ukraińskiej, sam Serhij Żadan opisał ją w pełnym „cichej grozy” jak z wierszy Charlesa Simicia „Pensjonacie”. „Arabeski” są jednak wyjątkowe już przez wycinek świata, jaki opisują: to bezpośrednie zaplecze frontu, najczęściej – wielkie, ostrzeliwane, usiłujące jeszcze funkcjonować miasto. To może być żadanowski Charków, lecz także Sumy czy Zaporozże – każde miasto dość duże, by mieć wysokościowce i tramwaje, trafiane dronami szkoły i bloki.

Jego obywatele – Wowczyk, Walera, Artem, Kola – chcieliby żyć jak dotąd („Słońce bije wieczornymi promieniami, kuchnia przypomina rzekę, która prześwituje do mulistego dna”) i jasno widzą, że nic nie będzie takie jak dotąd („W tym czasie miasto leżało jak zwierzę ze złamanym kręgosłupem – chcesz pomóc, ale boisz się podejść”). Świetne jest obrazowanie, na jakie przez chwilę, na prawach fantazji czy fazy snu pozwala sobie Żadan, widząc między uliczkami zasypanymi tłuczoną cegłą, rozgrabionymi kioskami i wojskowymi konduktami pogrzebowymi także „niekończący się wieczór (...) zalewany czerwonym rzęсистym światłem”, kiedy to „można dotknąć czasu jak kory drzewa – jest ciepły, nagrany przez lato, wypełniony słońcem”. Trudno przy tym powiedzieć, czy te mignięcia piękna w zniszczonym świecie mają być demonstracją niepotrzebnych w wojennym czasie talentów, czy przywoływane zostały, by pokazać, jak wiele zostało stracone, czy po prostu powinny kontrastować z twardą treścią tych opowiadań, które niezmiennie traktują o stracie: czasem o śmierci, częściej, niemal zawsze, o odebraniu ładu i sensów, istniejących w epoce przed wojną.

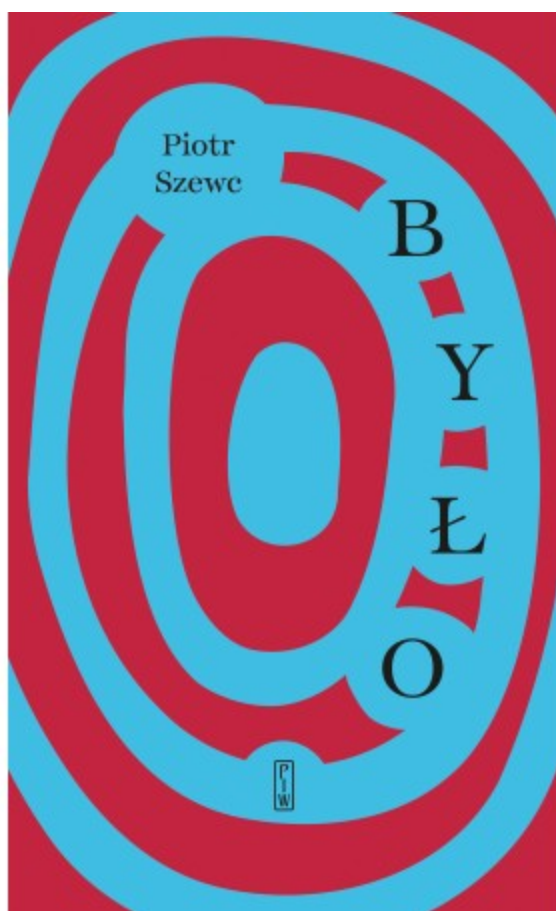
Żadan obywa się przy tym bez patosu, konkretności i krwi. O tym, że bohaterowie jego prozy są opuszczeni, pozbawieni ładu, sensu czy kończyn dowiadujemy się z reguły w ostatnim wersie lub dwóch, z pointy nakreślonej tak (na pozór) mimochodem, tak (na pozór) niedbałej, a tak przejmującej, że niemal oburzyć się można na ukraińskiego pisarza za efekciarstwo, za *suspense* bardziej pasujący do ćwiczenia literackiego czy powieści sensacyjnej niż do poważnej prozy. Ale jego celem nie jest sensacja, lecz kondensacja, opowieść stoicka jak u klasyków amerykańskich *short stories* z połowy ubiegłego wieku, jak u, o zgrozo, Hemingwaya. Dość przytoczyć tylko jedną z takich *point*, punktujących niby iskrzącą, lecz kulejącą, gasnącą jak uszkodzony silnik rozmowę ładnej, niezamężnej dziewczyny i weterana („Wszyscy cię bardzo kochamy – powiedziała – i jesteśmy z ciebie dumni”), znajomych jeszcze ze szkoły średniej. Jej sensy i mielizny ujawnia ostatnie zdanie opowiadania: „Schował telefon, siedział, czekał aż przyjdzie siostra i odtoczy go do sali”.

Tak, to hemingwayowski efekt, nawet, jeśli nie zawsze aż tak szarpiący: te *pointy* wybrzmiewają jak akord, wybuchają jak trącona piórem kilka zdań wcześniej mina przeciwniechotna. Zgaduję, że to właśnie najbardziej podoba się Andrzejowi Stasiukowi, piszącemu w blurbie „Chcecie mistrzowskiej, surowej prozy? No to proszę bardzo”. I ma rację, te pointy (cięża, duma, śmierć, seks, sen) dobrze wybrzmiały w każdym audiobooku i na scenie, znajdują fanów i naśladowców.

Jest jednak w najnowszej prozie Żadana coś jeszcze: nie tylko hojnie kreślone porównania („..na horyzoncie od północy w powietrzu wisały długie czarne dymy. Jak kocie ogony. Jak zalany czarną farbą brystol”), ale i inny rodzaj niedopowiedzenia: „W kazaniu jest coś o miłosierdziu i

pamięci. (...) Wszyscy stoją, oddychają powietrzem, które przesiąkło zapachem topionego wosku i mokrych mundurów, myślą (...) o suchej trawie, o pustych torach tramwajowych, myślą, i zupełnie nic nie rozumieją – ani tych słów o miłosierdziu, ani o pamięci”; „Coś trwa, skomplikowane, pełne bólu, pełne radości. Coś, czym nie można się podzielić. Coś, czego nie można uniknąć”. Nie są to żadne drętwe pochwały wiary i wytrwałości, rola tych zdań w książce jest niejasna. Nie wiadomo – sięgając po metaforę budynku, nie od dziś lubianą przez Żadana – czy to resztki wypalonych schodów, wiszących nad ruiną, czy pierwsze próby odlania nowych z chudego żelazobetonu. Zapis anomii czy przyrastania nowej, pełnej blizn, tkanki? Można mieć tylko nadzieję, że to drugie.

Wojciech Stanisławski



Piotr Szewc, „Było”, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2025

ARABESKI

SERHIJ
ŻADAN

PRZEKŁAD
MICHAŁ PETRYK



Serhij Żadan, „Arabeski”, Wydawnictwo Czarne, 2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► [Przeczytaj wcześniejsze](#)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
